

Słowo wstępne

Świat tworzy we mnie miejsce, w którym go przyjmuję.

JEAN WAHL

Cztery zamieszczone tu szkice są kontynuacją tych, które ukazały się w 1954 roku pod tytułem *Littérature et sensation*. Raz jeszcze postarałem się skierować wysiłek rozumienia i sympatii ku swego rodzaju pierwotnej chwili literackiego tworzenia: chwili, w której dzieło rodzi się z poprzedzającej i niosącej je ciszy, w której wyrasta z ludzkiego doświadczenia; chwili, w której pisarz dostrzega, dotyka i ustanawia samego siebie w materialnym zetknięciu ze swoim tworzeniem; wreszcie chwili, w której świat nabiera sensu dzięki swojemu opisowi, dzięki językowi, który naśladuje go i namacalnie rozwiązuje jego problemy. To, rzecz jasna, tylko jedna jedyna chwila. Wiemy dziś, że wszelka świadomość jest świadomością czegoś, że człowiek nie jest już naturą, wyspą, więzieniem, esencją. Wiemy, że określa się poprzez swoje kontakty, poprzez sposób, w jaki pojmuje świat i samego siebie wobec świata, poprzez styl relacji wiążącej go z przedmiotami, innymi ludźmi i samym sobą. Otóż pomyślałem, że literatura jest jednym z miejsc, w których z najwyższą prostotą, a nawet naiwnością ujawnia się ów wysiłek świadomości pojmującej byt. W kontakcie z pięknym wersem, z udaną frazą, obrazem, epitetem czy nawet intonacją, rytmem albo ciszą każdy wielki pisarz odkrywa i tworzy swą pisarską wielkość i zarazem ludzką prawdę. Wielka literatura stanowi zatem uprzywilejowaną dziedzinę szczęśliwej relacji.

Spróbowałem więc odnaleźć i opisać główny zamiar, dominujący projekt życia czterech poetów. Projekt ten starałem się uchwycić na najbardziej podstawowym poziomie – tam, gdzie ujawnia się on w najskromniejszej, ale i najszczerzej postaci: to poziom czystego doznania, surowego uczucia czy też rodzącego się obrazu. Ponieważ chodziło tu o poezję, doznanie było nieodłączne od marzenia, które stanowi jego uwewnętrznienie i przedłużenie. Jest zatem oczywiste, jak wiele książka ta zawdzięcza badaniom Gastona Bachelarda. Idea nie była dla mnie tak istotna jak obsesja, marzenie zepchnęło

na plan dalszy teorię. Uważałem, iż prawda poety zapisana jest raczej w jego wierszach niż w myślach o poezji, które starałem się wszakże czytać równie uważnie jak same wiersze...

Każde wielkie dzieło sztuki odznacza się niewątpliwie wewnętrzną spójnością. Między różnymi poziomami doświadczenia zauważalne są echa i zbieżności. Czytać to właśnie budzić te echa, chwycić te nowe relacje, wiązać wyłaniające się zbieżności. Nerval marzy na przykład o bycie jak o utraconym, pogrzebanym ogniu: dlatego też wypatruje spektaklu wschodzącego słońca i zarazem różowych cegieł lśniących w porze zachodu, dotyku płomienistych włosów młodych kobiet albo płowego ciepła ich skóry *bionda e grassotta*. Ten sam projekt skłania go do marzeń o powszechnej alchemii zdolnej wzniecić ogień ogniem, miłość miłością, stworzyć byt samą jego potrzebą. Z szeregu postaw wyłania się fizjonomia Nerval, która pozwala nam zejść na poziom przeżytego bądź zapisanego szczegółu jego istnienia, a tym samym lepiej pojąć owego sens.

Ta próba lektury nie może, rzecz jasna, uchwycić całej prawdy. Każda lektura jest zawsze tylko jedną z możliwych dróg – inne wciąż pozostają otwarte. Arcydziełem jest właśnie dzieło otwarte na wszystkie strony i wypadki – dzieło, które można przemierzać w dowolnym kierunku. Postanowiłem więc odczytać Nerval, Baudelaire’a, Rimbauda i Verlaine’a w perspektywie, która jawiła mi się w ich wypadku słuszna, to znaczy w perspektywie głębi. Wydawało mi się, że ich poetycka przygoda polega na pewnym doświadczeniu głębi – głębi przedmiotu, świadomości, bliźniego, uczucia czy języka. Według nich człowiek zagubił się w głębokiej samotności i to z dna tej głębi objawia się on zmysłom i świadomości. To głębię będą oni zatem zdobywać, przemierzać i oswajać.

Nerval stara się pogodzić wyłanianie się i głębię, świadomość i wszechobecność. Na każdym poziomie tego wewnętrznego dystansu – którego niezrównanym badaczem pozostaje dla nas Georges Poulet – we wszystkich punktach czasu i przestrzeni poeta kreśli mityczne obrazy samego siebie. Chce być totalny, równy światu i tożsamy z sobą, powszechny i osobisty, wieczny i doczesny. Chwyta siebie i spełnia w mrocznej poezji *Chimer*, w tym iskrzącym się i wertykalnym języku, w którym nakładają się na siebie najodleglejsze, najbardziej sprzeczne sensory.

Powołaniem Baudelaire’a jest otchłań: pogrążony w niej, poszukujący „w dali niknącego Boga” – oszołomiony i przerażony – to znowu opanowany przez nią, przeniknięty blaskiem jej światła, słodczą jej głosów, zapachów i tchnień, może też ją zwyciężyć i przemieniać w głębię. Osiąga to w sposób

materialny, dzięki łasce przezroczystości, „ognia, który płonie w kielichu wszechświata”, dzięki zaletom ruchu, eurytmii, albo też poprzez „wzywianie duchów”. Czasownik, przymiotnik i rzeczownik tworzą u niego doskonałą trójcę; decydują o językowej równowadze i pełni, jakiej nie odnajdziemy już nigdy potem; rodzą stan spokojnego kołysania, w którym chwała, potoczność, podniosłość, cierpienie i głębia zostają cudownie zestrojone, jak gdyby w czystym szczęściu słowa i doświadczenia miały zażegnać wszelkie dysonanse chybionego, zdawałoby się, losu.

Rimbaud, który cały jest z Baudelaire’a, chce z kolei zanegować głębię. A raczej zamierza ją przekroczyć i w tym celu wydobyć z niej obietnicę uniesienia, jej przyszłą wartość. Poprzez wybuch, wzlot, wytrysk, przemianę, lakoniczność i bunt stara się zbudować świat bez podszewki, uwolniony od źródła i tęsknoty. Domaga się też jednak, by ów świat był pełen harmonii i braterstwa. Rozdarty między pragnieniem wolności i potrzebą ładu, niezdolny do tworzenia nowych przestrzeni, w których ten przyszły świat mógłby osiąść – przestrzeni, których materialną wartość, istotny, paradoksalny wymiar czulej przemocy czy też „życziwego egoizmu” jest w stanie oddać tylko język *Iluminacji* – może jedynie poddać się i zamilknąć.

Doświadczenie Verlaine’a, dziś niedocenianego, jest nie mniej paradoksalne. Chce on w sumie pozbawić głębię d n a, czyli podstawy. Jego doznanie, zamiast prowadzić ku konkretnemu przedmiotowi, pierwotnemu punktowi czasu i przestrzeni, wskazuje jedynie pustkę. Verlaine myśli tylko o nicości, o niczym. Głębia staje się u niego niewyrazistą rozległością, obszernością, czystą nieokreślonością. Verlaine zgadza się wyjść z siebie, by nigdzie nie dotrzeć, pozwala ogarnąć się temu, co mgliste, bezosobowe, owej pozytywnej nicości, którą nazywa mdłością. Nie tak silny wszakże jak Nerval, Rimbaud czy Baudelaire, nie doprowadza swojej przygody do końca. Wraz z *Mądrością* zatrzymuje się i wycofuje w przestrachu. Powraca do codzienności, do tego, co nazwane, do wyraźnego, osobnego życia. To dramat człowieka, który gubi się, gdyż nigdy do końca nie chciał się zatracić ani dotrzeć do granicy, za którą zniknąwszy, być może by się odnalazł.

„Trzeba letko stąpać po tym świecie, i więcej się ślizgać niż zapadać nogą” – mawiał Montaigne¹. W swoim szkicu w „La Nouvelle NRF” Maurice Blanchot komentuje to zdanie, zestawia je z podobnymi opiniami Nietzschego oraz Valéry’ego i sugeruje, że nowoczesna literatura powinna odejść od wszelkiej głębi. Być może Nerval i Baudelaire nie są pisarzami nowoczesnymi. Rimbaud z kolei jest niewątpliwie pierwszym z naszych współczesnych. Z trudem jednak godzimy się z myślą, że doświadczenie głębi, jakiemu wszy-

scy trzej tak tragicznie się oddali, nie dotyczy dzisiejszego człowieka. Owszem, głębia często była tylko pretekstem dla nostalgii, polem dla dowolności, schronieniem dla przyjemności bądź osamotnienia. Dziś często obnaża się jej sprzyjanie wszelkim mistyfikacjom, które zniekształcają nas i zniewalają. A jednak to ona, i tylko ona, umożliwia istnienie horyzontalności, ustanawia relację, pozwala porozumiewać się, do woli rozpościerać płaszczyzny, wprawić jedną formę w drugą, nawiązywać prawdziwy kontakt. Cały poetycki wysiłek naszej epoki – myślę tu o autorach tak różnych jak Char, Ponge, Emmanuel, Cayrol czy Bonnefoy – polega właśnie na odtwarzaniu tego kontaktu. Jak sądzę, wszystkim tym poetom chodzi o to, by przemierzyć głębię i wyjść z niej wyzwolonym, przepojonym braterstwem. Wszyscy oni w taki czy inny sposób zanurzają się w tym, co niepoliczalne i niemożliwe, w śmierci, by następnie – albo w tym samym czasie – wyjść z tego żywi. To paradoksalne, a mimo to wciąż z sukcesem ponawiane doświadczenie, które wiąże literaturę z niemożliwością literatury i opiera bycie na obcowaniu z nicością.